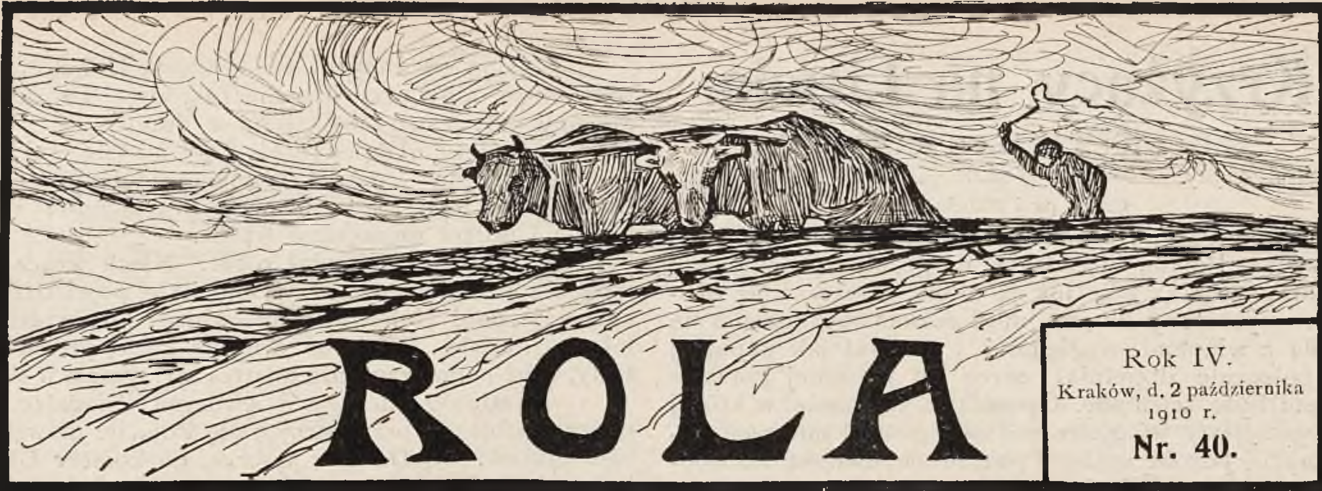


Rok IV.
Kraków, d. 2 października 1910 r.
Nr. 40.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1. Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

„Kto jak Bóg?“

Gdy człowiekowi bieda doskwiera i los za łeb go po ziemi włóczy, to prędzej westchnie do Boga i o Nim pomyśli, ale gdy strapienia miną i szczęście uśmiechać się pocznie, zapomina o Bogu, zadziera głowę do góry i sterczy ponad innymi, jak kłos pusty. Nietylko prostaczek, który niema zbyt wiele rozumu, tak czyni, ale często uczony i filozof nieinaczej postępuje.

Pan Bóg, stworzywszy Aniołów, uczynił ich nieskończenie szczęśliwymi, gdyż nie podlegali ani cierpieniom, ani śmierci, a nadto bez żadnych zasług własnych mogli ciągle obcować z Bogiem i patrzeć twarzą swoją w twarz Jego. Ale pycha, ten wróg odwieczny wszystkiego, co dobre i święte, poczęła nurtować wśród Aniołów i rozdymać serca niektórych z nich, aż doprowadziła do tego, że wielu zapragnęło jeszcze większego szczęścia, że wielu chciało być równymi Bogu.

Gdyby Bóg był chciał, słowem jednem byłby w nicość obrócił pyszałków, byłby w proch starł niewdzięczne stworzenia, ale Pan Bóg tego nie uczynił: chciał on dać sposobność wiernym Aniołom do okazania Mu swej wierności i miłości. I stało się, co było do przewidzenia: wszystkie zastępy anielskie podzieliły się na dwie części. Ci, co chcieli równać się z Bogiem, których duma przepełniała, stanęli pod wodzą najpiękniejszego z Aniołów, którego Jutrzenką (Lucifer) nazwano i wypowiedzieli posłuszeństwo Bogu.

Wtedy jeden z Archaniołów stanął naprzeciw a zawoławszy: »Micha-El« — »Kto jak Bóg« zgromadził koło siebię zastępy wiernych Aniołów.

Święty Michał, widząc ogromną ilość dobrych Aniołów i wolę Bożą za sobą, pokonał pyszałków i strącił ich do piekła, gdzie dręczeni żalem okrutnym za utratą szczęścia niebieskiego i widzenia Boga, pozostawać mieli po wieczne czasy.

Z pychy tej haniebnej wyrodziła się u złych duchów druga niegodziwość, to jest zazdrość. Gnani tą niepohamowaną zazdrością, starają się nie dopuścić innych stworzeń Bożych, t. j. ludzi, do tej wiecznej szczęśliwości, jaką Bóg dla nich zgotował. Używają też wszelkich sposobów, aby człowieka od Boga odwieść, aby on o niebie i szczęściu wiecznem zapomniał, a wieczność całą zato w rozpaczy i cierpieniach przepędził. Używają różnych sposobów. Jednemu ukazują cielca złotego, mienie i dostatki, za któremi on goniąc, zapomina o zbawieniu własnej duszy; drugiemu pokazują sławę i zaszczyty, a innemu inne rzeczy a każdego starają się usidlić, aby go w swoje panowanie zagarnąć i zgubić.

Ale dyabła człowiek nie widzi, więc się go tak bardzo nie boi. Wobec tego przybiera on sobie do pomocy złych ludzi, bo ludziom łatwiej do człowieka się zbliżyć i na manowce go poprowadzić. Mnożą się też w świecie różne stronnictwa niby polityczne, różne sekty religijne, które w myśl wskazówek dyabelskich działają, a krzycząc: »Nie masz Boga!« — ludzi w panowanie czartowskie wiodą.

Lecz naprzeciw nich stoi św. Michał z ludźmi cnotliwymi i ciągle woła: »Kto jak Bóg!«

Setki i tysiące niedowiarków uwija się po świecie i chce stłumić wiarę w Boga, przedstawiając ludziom, jako cel ich dążenia dostatki i rozkosze, ale znów setki i tysiące kapłanów i ludzi religijnych tamują tę czartowską robotę, aż przyjdzie czas, że zwyciężą zupełnie moce piekielne.

Jakkolwiek św. Michała czci cały świat katolicki, ale my go czcimy więcej od innych, gdyż on jest patronem Galicyi. Jak każda parafia, tak każdy kraj ma swego patrona, którego dzień obchodzi uroczyście. Dawniej św. Michał był patronem Rusi, po przyłączeniu Galicyi do Austryi 1772 r. nadano jej całej za patrona św. Michała, jako podlegającej pod władzę duchowną jednego arcybiskupa we Lwowie. Wielkie Księstwo Krakowskie, które tej władzy nie podlegało, ma do dziś dnia za patrona św. Stanisława.

Krzyżacy na Litwie.

XLII. NIEŁASKAWE PRZYJĘCIE.

Strapienia Pojaty. — Przyjazd do Malborga. — W domu Hubeków. Gniew pani Hubekowej.

Tymczasem, powierzona wybranej straży przez Ulrycha, Pojata, wjeżdżała w granice pruskie, nie wiedząc wcale, jaki los ją czeka. Dozorca jej Milkier, wysłużony knecht, miał rozkaz obchodzenia się z nią z winnemi względami i chociaż jak najlepiej to polecenie dopełniał, serce jej niemniej gorzkim żalem było ściśnione. Opuszczała tę ziemię, w której nieszczęśliwy jej ojciec pozostał pośród zaburzeń wojennych, pośród sroższej jeszcze niepewności losu bogów i wiary. Widziała, jak smutna przyszłość go czeka, jak mocno zdrowie jego było osłabione i tem się najbardziej trapiła. Z drugiej strony, jakby przez sen mdły, ujrzała na chwilę zajętego jej obroną rycerza, którego głos tak słodko przypomniał dawnego przyjaciela, choć nie była pewną, że był to Trojdan. Wolałaby była jednak zginąć z jego ręki, niż raz jeszcze być mu winną tak nędzne życie.

W tak dolegliwych uczuciach posuwała podróż przez piaszczyste płaszczyzny, gdy dnia piątego zbliżać się zaczęła do miejsca swego przeznaczenia; uderzył ją z daleka wznoszący się ogrom murów malborskich. Zczerniały wiekami zamek, panujący nad obszernym grodem, ostre wieże kościołów i wały miasta wysokie, wszystko ją nowym i przykrym raziło widokiem. Dozorca jej, człowiek ludzki, ucieszony zbliżającym się kresem podróży, starał się i towarzyszki smutek w radość zamienić, różne jej wynajdując pociechy. Zapewniał naprzód, że ją umieści w domu gospodyni uczciwej, pod której opieką na niczem jej zbywać nie będzie i że za powrotem mistrza odesłaną pewnie zostanie, gdzie się jej tylko podoba; że tymczasem zobaczy w tem mieście wiele pięknych rzeczy, którychby pewnie nigdy nie widziała na Litwie, że mistrz często dla rycerzy wspaniałe wyprawia bankiety, lecz przytem jest na wykraczających surowy, karze ich ciężkiemi pokuty, a niekiedy i śmiercią. Wspomniał nakoniec, że jest skryta w murach zamkowych przepaść, w którą zwykle skazanych na śmierć wtrącają i że już za jego pamięci kilka się takich zdarzyło wypadków.

Była właśnie poranna chwila, dźwięk nieustanny dzwonów, szeregi zakapturzonych mnichów do kościoła dążące, gwar kupczących, język nieznany, turkot pojazdów, odbijający się o sklepienia bram długich, i hasła w nich straży, którym się musiał jej dozorca sprawiać, okropnym ją przenikały strachem. Nakoniec, po wielu przeprawach, kazał Milkier woźnicy skierować w wązką uliczkę i »halt« zawoławszy przed obszernym gmachem, uwiadomił Pojatę, że już się podróż skończyła.

Była to jedna z tylnych wierzei zamkowych, przeznaczona na mieszkanie sług i dworzan mistrza. Wysiadłszy przed nią Milkier, kazał iść Pojacie za sobą. Wkrótce weszła do obszernej izby, napełnionej naczyniami stołowemi.

Śród nawału naczyń stały w kącie dwa łóżka, których nasłanie mnogiemi pierzyny zdało się sięgać sklepienia. Ściany obłożone wizerunkami świętych, za stołem zaś odwrócony od drzwi, siedział w krótkim białym kaftanie pękaty człowiek w podeszłym już wieku, ze szlafmycą na głowie i fartuchem u pasa i tak smaczno zajadał, że cała jego uwaga zdała się być na misę zwróconą. Pojata, wszedłszy do izby, przy drzwiach z nieśmiałością stanęła, przewodnik zaś jej zbliżył się do jedzącego i klepiąc go po szlafmycy, tak się odezwał:

— A ja cię zawsze, mój kochany Hubeku, albo przy misie, albo przy dzbanie znajduję. To dobrze, ale powiedz, jestże twoja żona w domu?

— Święty Augustynie! Czy mi się śni, czy w imię Pańskie — mówił, żegnając się Hubek — dalibóg, to ty jesteś. Jak się masz, przyjacielu? To zapewne i mistrz niezadługo wróci?

— A cóżby tam miał robić? Niech wraca, byleby z sobą gości nie przywiódł. Ale, powiedzże mi, czemu ja pani Hubekowej nie widzę? Oto widzisz tę młodą Litewkę. Komtur Ulrych kazał prosić twej żony, żeby ją do przyjazdu mistrza zatrzymała u siebie.

— Dalibóg, niczego dziewczyna! Siadajże, wypocznij sobie — przypatrując się Pojacie, mówił wesoło Hubek. — Dobrze, dobrze, co komtur Ulrych każe, to być musi koniecznie, niech zginę, jeżelim nie myślał, że w Litwie są same brzydkie kobiety, ale mi powiedz, cóż to za zwierzynka?

— Prawdziwie sam nie wiem — odpowiedział Milkier. — Musi być córką jakiego bogatego Litwina, to go na okup pociągnie. Towar ten zostawię u ciebie, a tymczasem przełożonym poroznoszę listy, bo trzeba, żebyś wiedział, iż mam rozkaz wracać do wojska.

— Nie, nie, to być nie może! Ja tej dziewczyny na mój kark brać nie chcę, ty ją sam naprzód oddaj do rąk mojej żony, a potem leć z lichem, gdzie ci potrzeba. Prócz tego, teraz darmobyś biegał po celach, wiesz, że o tej porze wszyscy w kościele. Śliczna panienko! uczyńże mi łaskę, przestań się smucić i siadaj za stół. Dalibóg, pieczeń z cebulą, warta twej buzi.

Pojata nie wiedziała co czynić. Oczy jej na Milkiera zwrócone zdawały się pytać, czy ma przyjąć wezwanie, ale jej przewodnik, w tej chwill pieczenią zajęty, nie był w humorze przenikania myśli. Hubek, widząc niepewność dziewicy, poskoczył do niej, wziął za rękę, posadził obok Milkiera, nakrył talerze i piwa dzban postawił. Mało nieszczęśliwa Pojata czuła w sobie chęci korzystania z tak uprzejmych oświadczeń. Hubek tymczasem, wsparłszy się na stole, z rozkoszą przypatrywał się, jak jej towarzysz zraz po zrazie zmiatał,

Rozmowa przy talerzu i pełnym kuflu obfitszą się stała. Rozmaitość wypadków w Litwie i Polsce szerokie do niej otwierała pole, a wdzięczność gościa, rozwiązując mu usta, umiała wypłacać się przyjemnie gospodarzowi.

Kiedy tak im wesoło czas schodził, weszła do izby wracająca z kościoła pani Hubekowa z dużą książką pod pachą; spostrzegli nasi podróżni, że przybycie jej nagłe popsuło dobrą myśl gospodarza. Była to wysokiego wzrostu otyła niewiasta, a choć już przeszły lata jej młodości, chód jej i ruszenie tak były żwawe, jak gdyby jeszcze była w wiośnie wieku. Na jej przyjście podniósł się Milkier i witał ją grzecznie, ale to witanie nie było ani tak poufałe, ani tak pewne, z jakiem spotkał jej męża, powstała i Pojata, nieśmiały ukłon oddając. Pani Hubekowa tymczasem zacząwszy się krzątać po izbie, dużem czarnem swem okiem mierzyła Pojatę.

— Żono! — odezwał się Hubek — oto komtur Ulrych, co nas wysoko swą łaską zaszczyca, przysyła z obozu do ciebie kuryerem pana Milkiera.

— Czegoż to chce odemnie komtur Ulrych? — zapytała gniewliwa niewiasta.

— W samej rzeczy — odezwał się Milkier — umyślnie do pani jestem przysłany. Kochany Milkierze, mówił do mnie komtur, oddając mi litewkę, ja znam twoją sprawność i nie mogę w tym razie na nikogo lepiej się spuścić; słuchaj, weź ją z sobą i jedź do Malborga, do naszej pani Hubekowej, kłaniaj się

odemnie i proś, żeby tę sierotę zatrzymała u siebie do przyjazdu mistsza i żeby o niej miała staranie, a ja opłacę koszta utrzymania.

— Cóż to jest za dziewczyna? — pytała gospodyni.

— Wyjeżdżałem tak nagle, że mi nie przyszło o to i zapytać. Podobno jest wzięta na głębokiej Litwie przez przednią straż naszych. Wreszcie, co mi tam, kogo ja wiozę, dosyć, żebym do rąk oddał podług rozkazu.

— Czy do mnie nic komtur nie pisał? — zapytała znów.

— Żadnego nie dał pisma.

— To bardzo niedobrze! Ja na słowo nie przyjmuję nieznajomych ludzi do domu mojego. U mnie jest skład różnych rzeczy skarbowych, srebro, bielizna stołowa i trochę też własnej chudoby, gdyby co zginęło...

— Ja za tę dziewczynę zaręczam — odpowiedział Milkier.

— Schowaj pan swoje zaręczenia dla innej, ja niedopiero żyję na świecie, żebym tak łatwo wszystkiemu wierzyła. Prawdziwie! niema co mówić, układ wyborny, szkoda tylko, że mię w ciemię nie bito — mówiła kłótliwa niewiasta, patrząc podejrzliwie na męża — wszakżeś i ty gotów za nią ręczyć, nie prawda?

— Ja zaraz powiedziałem, że się do tego nie mieszam — odpowiedział Hubek. — To prawda, komtur Ulrych źle zrobił, że do mojej żony nie pisał, ale i to także prawda: gdzie niema pisma, tam dobre i słowo uczciwego człeka. Być też może, że komtur nie miał czasu.

— Zapewne był zatrudniony: ale ty masz zawsze czas na twoje łotrowstwa i bylem z domu, to zaraz najpierwszego z ulicy wabisz do siebie i karmisz i poisz, jak gdybyś był panem Malborga. Stary próżniaku! powiedz mi, na co się to wszystko przyda? I jeszcze chcesz, żebym tę pogankę chlebem moim rozpychała? A ty, mościa panno, myślisz, że ja się tak łatwo dam oszukać twojej ułożonej skromności? Nic z tego, precz mi zaraz z domu!

Tak mówiła rozzłoszczona niewiasta, odmykając drzwi przed Pojatą. Pomieszana i zalękniona dziewica chciała chętnie wyjść z domu, w którym tak ją źle przyjęto, ale Milkier, stanąwszy u drzwi, nie dopuścił kroku i tak się odezwał:

— Pani Hubekowa! pani, jak widzę, sama nie wiesz, co mówisz, obrażasz komtura, mnie krzywdzisz i sobie uwłaczasz. Wreszcie, możesz mi nie wierzyć, możesz tej biednej odmawiać przyjęcia, ale wypędzać jej z domu nie masz prawa, a ja mając ją wielce poleconą sobie, nie dam jej krzywdy uczynić i znajdę dla niej przyzwoitsze miejsce, niż dom pani, ale pamiętaj, co z tego wyniknie.

— Co ma wyniknąć? Komtur Ulrych nic mi nie ma do rozkazania, nie jestem jego żołnierzem. Patrzcie! jeszcze mię będzie uczył rozumu. Jeżeli ją komtur chciał w domu moim umieścić, mógł do mnie napisać; cóż to, czy nie wie, że nietylko książki nabożne, ale każde pismo umiem przeczytać, czy nie wartą jestem, żeby list do mnie napisał? A któż znaczy bieliznę stołową? Kto rejestra trzyma? Kto wydaje kwity? Ten drągal — pokazując na męża — jeść tylko umie, ja wszystko robię; gdyby tę dziewczynę komtur do mnie przysyłał, ja go znam, pewnieby napisał.

— Czyń pani, co się jej podoba, ja nie mam czasu dłużej z nią rozmawiać, ale przestrzegam, że to jest córka znakomitego Litwina i że los jej mocno mistrza obchodzi.

— No, to trzeba było tak odrazu powiedzieć, co innego jest mistrz, a co innego komtur Ulrych, nie zaś tak za napaść ludzi komu narzucać. Jeżeli to jest pewna osoba i pan za nią ręczysz, niechże w domu moim zostanie, ale to sobie wymawiam, że tylko do przyjazdu mistrza.

Pojata, chociaż drżała z bojaźni, skłoniła się pokornie; oczy jej na Milkiera zwrócone, zdały się wymawiać: »takżeś to mnie w opiekę dobrej oddał niewiasty«. Zrozumiał Milkier jej myśli, lecz musiał trzymać się zaleceń Ulrycha, a do tego już i zgoda stanęła.

Po odejściu Milkiera, z którym bez łez nie mogła rozstać się Pojata, pani Hubekowa wprowadziła ją do komory, dając wiedzieć, że to jest jej mieszkanie i że o swym czasie będzie miała sobie przyniesione jedzenie, żeby zaś nie próżnowała, dała w rękę igłę i więź starej bielizny stołowej, zalecając jej cerowanie. Chętnie tę robotę, nawet z radością przyjęła Pojata, bo w niej znajdowała rozerwanie się w przykrej samotności; komora, w której zamkniętą została, prócz czterech ścian i kilku próżnych kubłów, innych sprzętów nie miała, a lubo wyjście z niej, obrócone na wały, wolne było dziewicy, nie chciała z niego korzystać, już to bojąc się rozgniewać ochmistrzynię, już lękając się w przechadzce na miejscu bezludnem doznać jakiej przygody, któraby ją o stan gorszy przyprawić, a przymknąwszy zatem drzwi wychodowe, siadła u okienka i robotą się zajęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JESIEŃ.

Jackowi Obrochcie kolega.

Jesień, jesień, smutna chłodna,
Czasem siwy mróz się ścieli,
Dusza życia, wiosny głodna,
Mogiła tuż, w śnieżnej bieli...

Jesień, jesień, w mgły spowita,
We mgle płynie, ptak tułaczy
Tam gdzie wiosna młoda świta —
Smutno skrzypi pług oraczy...

Jesień, jesień, smutna chłodna,
Lodowemi łzami płacze,
Za tą wiosną, co w kwiat płodna,
Serce tęsknie mi kołocze...

Przejdzie jesień, przejdzie zima,
Znowu wiosna zajaśnieje,
Lecz choć starzec ją przetrzyma,
Czy mu wiosna pierś rozgrzeje?

Nie rozgrzeje, nie rozgrzeje,
Gdy w niej żaru, czaru, wiosny,
Nie rozgrzeją życia dzieje,
Po których i skon radosny...

Jednym wiosna, drugim lato,
Trzecim jesień, czwartym zima,
Ale wszyscy, żyjmy na to,
Że cel życia, końca niema...

Jantek z Bugaja.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

31.

Jeszcze za życia Władysława gotowało się na Ukrainie, jak w kotle jakim. Odbywały się nocne schadzki, zmowy, odgrażania, a każdy konia sobie ujeżdżał, broń narządzał i ostrzył, nadsłuchując, kto pierwszy krzyknie: »Hura, na koń, na Lachów!«

Znalazł się wkrótce taki, a był nim Bohdan Chmielnicki, który wydał rozkaz, aby wyrznąć Polaków, księży i żydów. Poszedł przeciw niemu syn hetmański, Stefan Potocki, ale zdradzony, zginął w bitwie pod Żółtemi Wodami, a wojsko polskie poniosło ogromną klęskę.

Kiedy wiadomość o tych nieszczęściach doszła do Polski, już Władysław nie żył. Chmielnicki szedł ciągle naprzód. Poszedł pod Lwów — Lwów się mu okupił, poszedł pod Zamość — a ten uczynił to samo. Tu czekał na wybór nowego króla, a gdy ten padł na Jana Kazimierza, brata Władysławowego, Chmielnicki oświadczył, że nowego króla uznaje za pana. Ale nie długo to trwało: złamał przyrzeczenie i rozpoczęła się wojna i trwała póki Chmielnicki nie został pobity pod Zbarażem.

Całe panowanie Jana Kazimierza zapełniały same wojny; Chmielnicki, choć pokonany pod Zbarażem, ciągle wichrzył i zrywał się do boju. Moskal, niby ujmując się za Chmielnickim, najechał miasta, które dawniej krew polska zdobywała.

Jeszcze Polacy nie uspokoili się z Chmielnickim i Moskalami, gdy Szwedzi zalali wojskiem, jakby potopem całą Polskę. Zdawało się, że już wtedy przyjdzie koniec wolności naszej. I zapewne takby było, gdyby nie opieka Matki Najświętszej nad nami. Gdy Szwedzi oblegli Częstochowę, dodała Ona mocy zakonnikom, aby świętego miejsca nie poddali, a w Polakach rozbudziła zapał i ci wrogów z Polski wypędzili.

Król z wdzięczności dla Panny Maryi siebie i całe Królestwo Polskie ofiarował Jej we Lwowie.

Niejedną jeszcze wojnę musiał prowadzić król, aż wkońcu złożył koronę królewską w 1668 r.



Jan Kazimierz ofiaruje siebie i naród Najśw. Pannie.

List z Wielkopolski.

Zdawałoby się, że pod ciężkim butem pruskiego żandarma musi zginąć wszelkie życie. Że wieś polska w Poznańskiem tylko żyto rodzi a pszenicę, ale czynów ducha nie hoduje, bo jej tego nie wolno... Że skoro cała siła i cała wola musi wytężona być w jednym celu — by tę ziemię utrzymać, to już czasu brak, aby o co innego dbać i baczyć, czy nie ginie. Nie dziwnem byłoby, gdyby tak było. Ale jest po tysiąckroć radosnem, że jest inaczej.

Wielu bardzo ma o Poznańskiem zupełnie fałszywe pojęcie. Mówi się często u nas, w Galicyi, że na każdym kroku w Wielkopolsce zniemczenie znać, że nie usłyszy innej mowy, jak niemiecką, nic od Polaka nie kupisz, bo kupiectwo w rękach niemieckich. Tak źle nie jest, jeśli chodzi o mowę, o kupca, o miasto, a cóż dopiero gdy idzie o duszę polską na wsi polskiej.

Jedź bracie od Krakowa w okolice Leszna, Kościana, Gostynia; jakie tam ujrzysz stroje polskie, jaką czystą usłyszysz mowę, jakiego obyczaju będziesz świadkiem! Jedź do Poznania: pomiarkujesz zaraz, że Niemcy tylko pozór dali, ale grunt, to co pod spodem i głęboko, swoje a własne. Jest teraz w Poznaniu zamek cesarski, są zaraz od przyjazdu z dworca różne urzędy w gmachach pięknych, budowanych na wzór starych zamków niemieckich, jest Akademia czyli najwyższa szkoła, umyślnie ufundowana, aby szerzyła niemczyznę, jest teatr niemiecki, różne szpitale, domy sierot, zakłady różne, szkoły.... Ale spojrzyj po ulicy: ci ludzie, to nie Niemcy; posłuchaj jaki język najczęściej obije ci się o uszy: to będzie polska mowa. A do Akademii niemieckiej nie chodzi żaden Polak; w niemieckim teatrze, gdybyś spotkał rodaka, to mu nazajutrz możesz nie podać ręki; każdy przestrzega zasady: »swój do swego« — i publicznie napiętnowany będzie po gazetach, ktoby u Niemca lub żyda kupował. Mimo trudności, robionych przez policyę pruską, istnieją i rozwijają się stowarzyszenia; a to już jest skutkiem długoletniego ucisku i przykładu, że na zebraniach mówi się mało, ale zato czyni dużo i nadewszystko — dokładnie.

Weźmy dla przykładu wieś, położoną niedaleko Leszna (między Wrocławiem a Poznaniem). Nazywa

się Oporowo. Oporowo posiada: 1)Kółko rolnicze; 2) Stowarzyszenie robotników, 3) Stowarzyszenie matek chrześcijańskich, 4) Związek młodzieży katolickiej, 5) Towarzystwo polskiej młodzieży.

Leży przedemą sprawozdanie »Kółka rolniczego«; ważniejsze daty są następujące: Członków liczy 84; posiedzeń w roku odbywa się 12; na każdem wygłaszane są znakomite nauki o gospodarstwie, to też od chwili założenia Kółka dobrobyt znacznie się podniósł. Składka roczna wynosi 1 markę (1 k. 20 h.). Dwór czyni wiele dobrego, rozdzielając różne gatunki zboża do siewu, ucząc używania sztucznych nawozów i t. d.

Sprawozdanie kończy się wierszykiem sekretarza Kółka:

Wszyscy gospodarze jesteśmy jednacy.
Bośmy przecie wszyscy szczerzy katolicy.
Dzieci jednej matki. Ma wioska kochana!
Niema u nas żyda, ani luterana.
Nasi gospodarze też oszczędnie żyją,
Bo po większej części gorzałki nie piją.
Mając kościół, ojca, we dworze Polaka,
Żyjemy wesoło. Oto wioska taka!

Robotnicy dworscy mają Tow. robotnicze, niedawno założone, które, choć młode, rwie się do życia, pracy, czynów i zapowiada się pięknie. Składka roczna wynosi 3 korony, za co robotnik otrzymuje gazetę (»Robotnika«) i ma prawo korzystać z »biura porady prawnej«, które chroni pracujących od wyzysku i pomaga im w uzyskaniu lepszych warunków pracy. Zebrania raz na miesiąc.

Przed półtora rokiem, z inicyatywy córki dziedzica (nazwisko zamilczę umyślnie) powstał w Oporowie »Związek młodzieży«; liczy on obecnie 80 członków, chłopców i dziewcząt. Zarząd składa się z zelatora, zelatorki, prezydentki i sekretarza. Zebrania odbywają się raz w miesiąc, latem w lesie lub na łące, zimą w salce, która służy wszystkim stowarzyszeniom. Składek niema żadnych. Celem Związku jest szerzenie zdrowej oświaty wśród młodzieży polskiej. Wykłady na zebraniach wygłaszane miały następującą treść: »O potrzebie kształcenia się«, »Swiat i jego cuda«, »O wartości modlitw różańcowych«, »Kraków i Częstochowa«, dalej szereg wykładów z historyi polskiej, literatury i przyrody. Pożytek ze związku oczywisty; młodzież garnie się do oświaty, nie szuka karczmy, i uczy się myśleć.

Stowarzyszeniem »Matek chrześcijańskich« kieruje dziedziczka, udziela wskazówek, kobiety wzajemnie się radzą, czytają, należą do Apostolstwa lub Żywego Różańca.

Czy nie dość pracy, owoców i przykładu? czy nie dosyć dowodów, że można twardo stać przy obowiązku, ziemi bronić, ręce po łokcie urobić a myślą wybiegać dalej i wyżej? Nadewszystko: że można najpilniej siać, sprzątać, wzmagać się w bogactwo a obok tego budować gmach wspólny, wszystkim drogi i upragniony: przyszłość ojczyzny szczęśliwszą.

Stanisław Krzywda.



MACIEK BZDURA GADA:

Aby was w smutku ozerwać trochę
I wase troski uśmierzyć; aby
Z głowy odpędzić myślenia płoche,
Opowiem, jakie są u nas baby!
Więc najładniejsa, to Michałowa:
Pysk się jej świeci, kieby cebrzycek;
Pół skrzyni chustek rozmaitych chowa
A drugie zaś pół różnych spodnicek.
Lec spoźryj na nią — znajdzies bez trudu:
Łeb kołtoniasty i brudne smaty,
Na całem ciele na palec brudu,
Który róść zacął jesce przed laty...
Druga Frankowa. O, ta nie sknera!
Ta ma na sobie wszyściuśko świeze;
Codzień się w inse chusty ubiera,
Choć wszyćko na bórg u Mośka bierze.
Trzecia Kubowa. Ta ma dostatek,
Co tydzień z kimś się innem pokuma,
I sama takze ma dziesięć dziatek,
Brak jej jedynie... trochę rozuma!...
A la Pietrowy?... Pieter zamało,
Który się trzyma cyrstwo, jak cyment.
Co taki Pieter?! Jejby się zdało
Lepsych od niego Pietrów regiment.
A Wojciechowa, ta pobożniutka!
Ona w kościele bywa co rana,
A po południu za wódką wódka...
I juz na wiecór całkiem pijana.

Lec nic to jesce baby zeniate!
Choć wady mają niepolicone,
Choć brudne chodzą, choć są pyskate,
Lec to tam ujdzie jesce na zonę.
Babie z tem ujdzie, ale dzieuska,
Ten niby anioł, ten niby kotek,
Jak ci rozpuści gębę od uska,
A język puści, jak kołowrotek
I zacnie gadać, co gęba zmieści,
To ci obmierznie ten stan niewieści!...
Jedna ma gębę jak rajskie wrota,
Druga z »frendźlami« parę »zapaszek«,
Trzecia ma w usach pół fury błota,
Cwarta »czyrwony« u »szukni paszek«.
Piąta wygląda bardzo wspaniale,
Jak malowana — cóz kiedy we łbie,
Jak powiadają ludzie zuchwale,
Ze ona tylko ma we łbie kiełbie!...
Ale z nich kazda mówi rózaniec,
By złapać chłopa; i nie wiem która
Z nich się nie modli, by ten śturkaniec
Był chociaz taki, jak Maciek Bzdura!..
I cóz dziwnego, ze ja w panieństwie
Chodzę; zem jesce baby nie znalaz?
Sami przyznacie, ze jest w małzeństwie
Tylko strapienie, tylko ambaras!..



JAK DYABEŁ PRZEGRAŁ SPRAWĘ.

(BAJKA WSCHODNIA).

Dawno, dawno temu, żył na świecie właściciel ogromnych dóbr. Służyli mu liczni niewolnicy i chwalili jego dobroć, mówiąc:

— Niema na świecie lepszego pana, niż nasz. Daje nam jeść, dostarcza odzieży, nie przeciąża nas pracą, nigdy nie powie nam przykrego słowa i nie pamięta uraz. Nie ma on nic wspólnego z panami, którzy traktują swoich niewolników gorzej niż bydło, karzą ich słusznie, czy niesłusznie i nigdy nie dadzą im dobrego słowa. Nasz pan chce naszego dobra i obchodzi się z nami łagodnie. Nie mogliśmy znaleźć lepszego pana niż on.

Dyabeł słysząc niewolników, wychwalających tak swego pana, a nie mogąc znieść zgody między nimi panującej, opętał jednego z nich, Aleba, i kazał mu innych niewolników do złego namawiać.

Pewnego dnia, kiedy wszyscy odpoczywali po pracy, Aleb zabrał głos, mówiąc:

— Moi bracia, niesłusznie wychwalacie dobroć naszego pana, bo nawet sam dyabeł stałby się dobrym, gdyby wypełniono jego wolę. My służymy panu wiernie, jesteśmy mu posłuszni, uprzedzamy jego myśli i życzenia. Jakże więc mógłby być dla nas niedobrym? Gdybyśmy zmienili postępowanie, stałby się z pewnością takim, jak wszyscy i cierpielibyśmy od jego złości więcej, niż nasi bracia od innych najsurowszych nawet panów.

Niewolnicy rozprawiali o tem, co powiedział Aleb i wkońcu zrobili zakład.

Aleb zobowiązał się wprowadzić w gniew swego pana i zawarł umowę, iż w razie, gdy mu się to nie uda, odda kolegom ubranie świąteczne, inaczej każdy z nich obowiązany jest oddać mu swoje.

Prócz tego obiecali niewolnicy Alebowi bronić go i wyswobodzić, gdyby okuto go w żelaza, albo zamknięto w więzieniu. Zakład stanął i Aleb zapowiedział, że nazajutrz rano rozgniewa swego zwierzchnika.

Aleb był przełożonym owczarni, gdzie pielęgnował owce bardzo rzadkiej i cennej rasy. Tegoż ranka, gdy pan ze swymi gośćmi wszedł przed owczarnię chcąc im pokazać swoje ulubione barany, niewolnik dyabła dał znak towarzyszom, jak gdyby im chciał powiedzieć:

— Patrzcież teraz, wprowadzę go w gniew!

Niewolnicy przybiegli i patrzyli, gdzie kto mógł przez drzwi i szpary zagrody. Dyabeł zaś wszedł na jedno z drzew podwórza, chcąc lepiej widzieć, jak opętany będzie dla niego pracował.

Pan domu oprowadziwszy gości po podwórzu i zwróciwszy ich uwagę na najpiękniejsze owce, chciał im jeszcze pokazać swego najmniejszego baranka, który właśnie przed niemi się zatrzymał. Ale w tejże chwili dozorca owczarni, jak gdyby przypadkiem, nastraszył całe stado, które w nieładzie pierzchło. Goście więc nie mogli dostrzedz cennego zwierzęcia.

Widząc to właściciel baranka, rzekł do Aleba tonem, w którym przebijało niezadowolenie:

— Mój przyjacielu, staraj się ująć delikatnie mego ulubieńca.

Zaledwie jednak to wypowiedział, Aleb rzucił się jak lew w sam środek trzody. Jedną ręką chwycił baranka za wełnę, drugą za nogę i w oczach swego pana przekręcił biednemu stworzeniu nogę tak gwałtownie, że pękła poniżej kolana.

Nieszczęśliwe zwierzę zaczęło beczeć i upadło na przednie nogi. Aleb chwycił je za prawą nogę, lewa zaś zwisała bezwładnie, jak bicz.

Goście i niewolnicy wydali okrzyk grozy, tylko dyabeł, widząc, jak Aleb prowadzi całą sprawę, radował się w duszy.

Pan domu stał się posępnym, ponurym, jak noc, pochylił głowę, ale nie rzekł ani słowa. Wszyscy uciszyli się, oczekując, co się stanie, ale pan milczał. Potem, otrząsnąwszy się, jak gdyby chciał

zrzucić z siebie jakiś ciężar, podniósł głowę i wpatrzył się w niebo. Nie trwało to długo, ale w miarę patrzenia zmarszczki na jego czole zaczęły się wygładzać, uśmiechnął się i, patrząc na Aleba, rzekł:

— Alebie, z rozkazu twego pana, chciałeś mnie wprowadzić w gniew. Pan, jednak, którego ja czczę, jest potężniejszy od twojego i nie zdołałeś mnie rozgniewać. Ale teraz ja zrobię na złość twojemu panu. Bałeś się, Alebie, abym cię nie ukarał i chciałeś być wolnym, wiedz więc, że nie będę cię wcale karał i że wyzwalam cię w obecności moich gości. Teraz zaś zabierz się i ruszaj na cztery wiatry.

To powiedziawszy, pan domu odszedł z gośćmi, a dyabeł, zgrzytając zębami, zsunął się z drzewa i zapadł pod ziemię.

Na łożu śmierci.

(Zdarzenie prawdziwe).

W pewnem mieście zachorował niebezpiecznie bardzo bogaty właściciel, który tylko krzywdą ludzką majątek swój zebrał.

Wiedział on od lekarzy, że gangrena, która się do ran jego przyrzuciła, żadnemi lekarskiemi środkami nie da się uleczyć, lekarze też go już opuścili, a kapłan przywołany daremnie mu przedkładał, że niema pojednania się z Bogiem, jeżeli krzywdy nie naprawi. Ile razy wspomniał, mawiał chory:

— Gdybym chciał naprawić krzywdy, które wyrządziłem, musiałbym obrócić na to cały majątek, a cóżby się wtenczas stało z trzema moimi synami? Pozbawieni całego majątku, byliby żebrakami.

Dowiedział się o tem inny ksiądz i oznajmił choremu, że posiada tajny środek przeciwko gangrenie. Natychmiast poprosił chory owego kapłana do siebie i z wielką go przyjął uprzejmością.

— Środek mój nieomylny — rzekł kapłan — i bardzo prosty, tylko że drogi, bardzo drogi!

— Niech kosztuje ile chce, chociażby i pięć tysięcy talarów! — zawołał chory.

— Oto cały środek polega na tem, że na zgangrenowanem miejscu napuścić trzeba nieco tłustości z żywego i zdrowego człowieka. Wiele tego tłuszczu nie potrzeba. Jeśliby się kto znalazł, któryby za pięć tysięcy talarów przez kwadrans pozwolił smażyć sobie rękę nad płomieniem, to zupełnieby wystarczyło.

— Ach! — odrzekł chory — obawiam się bardzo, że nikt się nie znajdzie, któryby i za podwójną cenę taką chciał ponieść ofiarę.

— Przedwczesna obawa — odrzekł kapłan — zapominasz pan, że masz synów, którzy tem wdzięczniejszymi powinni być ojcu, że im taki wielki zostawia majątek. Zawołaj jednego po drugim, począwszy od najstarszego i daj pan każdemu z nich przyrzeczenie, że mu cały zapiszesz majątek, jeżeli dla uzdrowienia i uratowania życia ojca przez kwadrans pozwoli sobie palić rękę, jeżeli nie wszyscy to przynajmniej jeden z nich gotowym będzie do tej ofiary.

Wezwano synów i kolejno zapytywano, ale żaden z nich nie chciał ani słuchać o tem, oświadczając, że woli cały majątek stracić, jak takiej bolesnej poddać się męce.

— Teraz pana nie rozumiem — rzekł kapłan do zasmuconego ojca — że dla takich synów chcesz stracić duszę i wiecznie gorzeć w ogniu piekielnym, którzy dla uratowania twego życia ani piętnastu minut nie chcą cierpieć mąk ognia ziemskiego.

Zrozumiał tę naukę chory. Natychmiast wezwał notaryusza, zapisał majątek na naprawienie krzywd wyrządzonych, o ile się to dało, i na dobroczynne cele, nie pytając o synów i umarł pojednany z Bogiem.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

NAOKOŁO WYSP GRECKICH.

Nazajutrz, 12 lutego, o wschodzie słońca. »Nautilus« wypłynął na wód powierzchnię. Co żywo wybiegłem na platformę. Około siódmej, Ned i Konsel przyszli do mnie na platformę. Dwaj ci nieodłączni towarzysze spali sobie spokojnie, niewiele się troszcząc o »Nautilusa«.

— Coż, panie — szyderczo wyzywającym tonem spytał mię Kanadyjczyk — a owo morze Śródziemne?

— Płyniemy po jego powierzchni, przyjacielu Ned.

— Czy to być może? — zawołał Konsel; — więc tej jeszcze nocy?...

— A tak, tej jeszcze nocy, w ciągu kilkunastu minut przebyliśmy owo nieprzebyte międzymorze.

— Gadaj pan profesor zdrów, nie uwierzę — odpowiedział Kanadyjczyk.

— Ależ, mój kochany — napominał go Konsel — skoro mój pan tak twierdzi, to trzeba wierzyć.

Kanadyjczyk patrzył z uwagą na daleki ląd.

— A niechże go nie znam, waszego kapitana! — zawołał nagle; — masz słuszność, panie profesorze, jesteśmy na morzu Śródziemnem. Niech go licho!... Tem ci lepiej zresztą. Pogadajmyż teraz, panie, o naszych drobnych interesach, ale tak, żeby nas nikt nie słyszał.

Zrozumiałem zaraz ku czemu zmierzał Kanadyjczyk i wszyscy trzej usiedliśmy przy latarni.

— Rzecz bardzo prosta — rzekł Kanadyjczyk — Jesteśmy teraz w Europie, i nie czekając aż spodoba się kapitanowi Nemo zawlec nas na morza biegunowe, wolę pożegnać się z »Nautilusem«.

Przyznam się, że takie rozmowy z Kanadyjczykiem zawsze nabawiały mię kłopotu. Bynajmniej nie myślałem ograniczać wolności moich towarzyszów, a jednak wcale nie miałem ochoty opuszczać kapitana Nemo. Dzięki temu dziwnemu człowiekowi i jego maszynie, codziennie poprawiałem swoje dzieło o dnach morza wśród jego żywiołów. Czy kiedykolwiek zdarzy mi się podobna sposobność do badania cudów oceanu? Z pewnością, nigdy! Nie mogłem więc oswoić się z myślą o opuszczeniu »Nautilusa«, wprzód nim się skończy szereg moich poszukiwań.

— Przyjacielu Ned — rzekłem — odpowiedz mi otwarcie: nudzisz się na pokładzie? Żałujesz, że los rzucił cię w ręce kapitana Nemo?

Kanadyjczyk przez kilka sekund nic nie odpowiedział, potem, założywszy ręce na piersi, rzekł:

— Otwarcie powiem, że wcale nie żałuję tej podróży pod morzami. Rad będę, żem ją odbył, ależ przecie raz powinna się skończyć. Takie jest moje zdanie.

— Bądź spokojny, Ned, skończy się.

— Gdzie i kiedy?

— Gdzie? Nic nie wiem. Wszystko, co się zaczęło, musi mieć koniec na tym świecie.

— Ja myślę tak samo, jak mój pan — wtrącił Konsel — i bardzo być może, że gdy przebiegniemy wszystkie morza kuli ziemskiej, kapitan Nemo wypuści nas wszystkich trzech na wolność.

— Przyjacielu Ned — rzekłem — masz słuszność. Nie trzeba liczyć na dobrą wolę kapitana Nemo. Najpospolitsza roztropność zabrania mu wypuszczenia nas na wolność. Przeciwnie, nam roztropność nakazuje korzystać z pierwszej sposobności do ucieczki z »Nautilusa«. Zrobię tylko jednę uwagę, jedyną. Sposobność powinna być przyjazną. Nasza

pierwsza próba ucieczki musi się powieść, bo gdy się nie powiedzie, nie znajdziemy już drugiej sposobności, a kapitan Nemo nigdy nam nie przebaczy.

— Zgoda — rzekł Ned-Land. — Gdy w noc ciemną »Nautilus« zbliży się do brzegów europejskich...

— A wtedy zechcesz ratować się wpław?

— Tak, jeśli zbliżymy się do brzegu, a statek unosić się będzie na powierzchni.

— Bardzo dobrze, Ned. Wyszukujże tej sposobności, ale nie zapominaj, że niepowodzenie nas zgubi. Ale myślę, że nie zdarzy się ta przyjazna sposobność.

— A to dlaczego?

— Bo kapitan Nemo wie doskonale, iż nie wyrzekliśmy się nadziei odzyskania wolności; będzie się więc strzegł, zwłaszcza w blizkości brzegów europejskich. A teraz nie mówmy już o tem — dodałem. — Ani słowa więcej o tym przedmiocie. W dniu, w którym będziesz gotów, uprzedzisz nas, a my pójdziemy za tobą.

Tak zakończyła się rozmowa, której późniejsze następstwa miały być bardzo poważne. Teraz muszę powiedzieć, że wypadki zdawały się potwierdzać moje przewidywania, ku wielkiemu niezadowoleniu Kanadyjczyka. Najczęściej »Nautilus« płynął pod wodą i zdala od brzegów. Albo okręt wynurzył się tyle tylko, żeby wysunąć na powietrze klatkę sternika lub też zatapiał się w niezmierne głębie.

Nazajutrz, 14 lutego, obliczając położenie »Nautilusa« zauważyłem, że zbliżał się do starożytnej wyspy Kreta. W chwili, gdym wsiadał na pokład »Abrahama Linkolna«, cała ta wyspa powstała przeciw jarzmu tureckiemu — co jednak później się stało



... pływał zręcznie i szybko...

z owem powstaniem, najzupełniej nie wiedziałem, i zapewne nie dowiedziałbym się od kapitana Nemo, który nie miał żadnych stosunków z lądem.

Nic też nie wspomniałem o tym wypadku, gdy wieczorem siedziałem z nim sam w salonie. Zresztą wydawał mi się niezwykle małomówny i zafrasowany. Później, sprzecznie ze swoimi zwyczajami, kazał otworzyć obie ściany salonu i bacznie przypatrywał się wodzie. W jakim celu? Nie mogłem odgadnąć, i ze swej strony korzystając ze sposobności, studyowałem ryby, które przesuwały się przed mojemi oczyma. Nie mogłem się dość napatrzeć na te cuda natury, gdy niespodziane zjawisko nagle zwróciło na się moje oczy.

Pośród wód ukazał się człowiek, nurek, mający u pasa woreczek skórzany. Nie był to trup, wydany na pastwę bałwanom — był to człowiek żywy, który pływał zręcznie i szybko, niekiedy znikając, żeby odetchnąć na powierzchni, to znowu zanurzając się w morze.

Obróciłem się do kapitana Nemo i zawołałem głosem wzruszonym:

— Boże, rozbitek! Trzeba go wyratować!

Kapitan nie odpowiedział i oparł się o szybę.

Człowiek ów zbliżył się, przytknął twarz do ściany i patrzył na nas.

Osłupiałem spostrzegłszy, że kapitan Nemo dał mu jakiś znak. Nurek odpowiedział ręką, natychmiast powrócił na powierzchnię morza i już się nie pokazał.

— Bądź pan o niego spokojny — rzekł do mnie kapitan. — To Mikołaj, przezwany Rybakiem. Znany on jest na wszystkich tutejszych wyspach. Śmiały nurek! Woda jest jego żywiołem i żyje w niej więcej niż na ziemi, nieustannie pływając z jednej wyspy do drugiej, nawet do Krety.

— Znasz go więc, panie kapitanie?

— Czemużby nie, panie Aronnax.

To powiedziawszy, kapitan Nemo poszedł do szafy, stojącej przy lewej ścianie salonu. Obok szafy stał okrągły kuferek żelazny. Kapitan, nie zważając na moją obecność, otworzył szafę, w której była znaczna liczba sztab lanego metalu.

Były to sztaby złota. Skąd pochodził ten szacowny kruszec, przedstawiający ogromne sumy? Gdzie kapitan zbierał to złoto i co zamierzał teraz z niem zrobić.

Nie rzekłem ani słowa, patrząc ciekawie. Kapitan Nemo brał sztaby jednę po drugiej, układał je metodycznie w kuferku i cały zapełnił. Oceniłem, że kuferek zawierał wtedy przeszło tysiąc kilogramów złota, to jest około pięciu milionów koron.

Kapitan szczelnie zamknął kuferek i na górze napisał adres literami, jak mi się zdawało, greckiemi.

To uczyniwszy, kapitan Nemo nacisnął guzik, od którego drut łączył się z biurem pocztowem osady. Ukazało się czterech ludzi i nie bez trudności wynieśli z salonu ciężki kuferek, potem słyszałem, jak windowali go na linie po schodach żelaznych.

Łatwo pojąć, że wróciłem do swojego pokoju wielce zaciekawiony. Daremnie usiłowałem zasnąć. Umysł mój wciąż pracował, szukając związku między ukazaniem się owego nurka i tą szkatułą pełną złota. Wkrótce z pewnego kołysania się statku poznałem, że »Nautilus« opuścił dolne warstwy morza i wypłynął na powierzchnię. Potem słyszałem stąpania na platformie. Zrozumiałem, że odczepiano łódź i spuszczano ją na morze. Łódź uderzyła o bok »Nautilusa« i po chwili wszelki szmer ucichł.

We dwie godziny później usłyszałem znów ten sam szmer i te same stąpania po platformie. Łódź wciągnięta na pokład przymocowaną została do swo-

jej osady i »Nautilus« zanurzył się w morzu. Tak więc owe miliony odesłane zostały według adresu. Na jaki punkt lądu? Z kim korespondował kapitan Nemo?

Nazajutrz opowiedziałem Konselowi i Kanadyjczykowi wypadki tej nocy, które tak zaostrzyły moją ciekawość. Towarzysze nie mniej byli zdziwieni.

— Skąd on jednak bierze te miliony? — spytał Ned-Land.

Na to pytanie niepodobna było znaleźć odpowiedzi. Po śniadaniu przyszedłem do salonn i zabrałem się do pracy. Do piątej wieczór spisywałem swoje notatki. W tej chwili — mamże to przypisać osobistemu usposobieniu — uczułem nieznośne gorąco i musiałem zrzucić z siebie odzienie. Pracowałem, ale wkrótce temperatura tak się podniosła, że niepodobna już było wytrzymać.

— Chyba pożar na pokładzie? — pomyślałem.

Chciałem opuścić salon, gdy wszedł kapitan Nemo. Zbliżył się do termometru, spojrzał z uwagą i rzekł, obracając się, do mnie:

— Czterdzieści dwa stopnie.

— Czuję to na sobie, kapitanie — odpowiedziałem — i jeśli to gorąco trochę się powiększy, nie wytrzymamy dłużej

— O! panie profesorze, gorąco się nie powiększy, jeśli nie zechcemy.

— Więc możesz pan łagodzić je według swego upodobania?

— Nie, lecz mogę oddalić się od ogniska, które je wydaje.

— Jest więc zewnątrz statku?



... kapitan otworzył szafę...

— Rozumie się. Płyniemy w prądzie wody wrzącej.

— Czy być może? — zawołałem.

— Patrz pan.

Ściany otworzyły się i dokoła »Nautilusa« ujrzałem morze najzupełniej białe. Para siarkowa w kłębach dymu mieszała się z falami, które gotowały się jak woda w kotle. Dotknąłem ręką szyby, ale zaraz musiałem cofnąć, tak była gorącą.

— Gdzież więc jesteśmy? — spytałem.

— W blizkości wyspy Santoryny, panie profesorze — odpowiedział kapitan. — Chciałem dać panu ciekawe widowisko podmorskiego wulkanu.

— A ja myślałem, że tworzenie się tych nowych wysp już się skończyło.

— Nie, i nigdy się nie skończy w okolicach wulkanicznych — odrzekł kapitan Nemo; — ognie podziemne nieustannie nurtują i podważają ziemię.

— A kanał, na którym w tej chwili jesteśmy? — spytałem.

— W tem miejscu — odpowiedział kapitan Nemo, palcem wskazując na mapie archipelagu. — Widzisz pan, że już umieściłem na niej nowe wysepki.

Powróciłem do szyby. »Nautilus« zatrzymał się w biegu. Gorąco stawało się nieznośnem. Morze z białego stawało się czerwonem. Pomimo szczelnego zamknięcia salonu, czułem nieznośną woń siarki i widziałem szkarłatne promienie, których żywość zaćmiewała blask elektryczności.

Byłem oblany potem, dusiłem się, myślałem, że się już ugotuję, jak rosół w garnku.

— Nie można dłużej zostawać w tej wrzącej wodzie — rzekłem do kapitana.

— W istocie, nie byłoby to roztropnem — odpowiedział obojętnie.

Na dany rozkaz »Nautilus« zmienił kierunek i oddalił się od ognistego pieca, w którym nie mógł bezkarnie zostawać. W kwadrans później odetchnęliśmy na powierzchni morza.

Przyszło mi wtedy na myśl, że jeśliby Ned-Land wybrał te strony do wykonania naszej ucieczki, nie wyszlibyśmy żywi z tego morza płomieni.

PRZEZ MORZE ŚRÓDZIEMNE DWA DNI.

Przez morze Śródziemne jechaliśmy szybko. — Obliczyłem, że blizko sześćset mil »Nautilus« płynął pod wodą, i że na całą podróż użył tylko dwie doby. Dnia 16 lutego zrana opuściliśmy wody Grecyi, 18 o wschodzie słońca już przebyliśmy cieśninę Gibraltarską. Oczywistem było dla mnie, że to morze Śródziemne nie podobało się kapitanowi Nemo, zapewne dlatego, że było otoczone lądami, od których uciekał. Nie miał już tutaj owej swobody ruchów, owej niepodległości, jaką mu dawały oceany — a jego »Nautilusowi« było za ciasno między brzegami Afryki i Europy. To też pędziliśmy z szybkością dwudziestu pięciu mil morskich na godzinę. Zbytecznem byłoby nadmieniać, że Ned-Land z wielkim żalem zrzec się musiał swoich projektów ucieczki. Opuścić »Nautilusa« w takich warunkach, byłoby to wyskoczyć z pospiesznego pociągu na kolei żelaznej. Zresztą, nasza maszyna tylko w nocy wypływała na powierzchnię, żeby odnowić zapas powietrza.

Podczas nocy z 16 na 17 lutego, wpłynęliśmy do drugiej kotliny śródziemnej, której największe głębie wynoszą trzy tysiące metrów. »Nautilus« party swoją śrubą zagłębił się w najniższe warstwy morza. Tu w braku cudów przyrodzonych, masy wód przedstawiały mym oczom wiele scen wzruszających i strasznych. W istocie przebywaliśmy wtedy część morza Śródziemnego, najpłodniejszą w nieszczęścia. Morze Śródziemne jest tylko jeziorem w porównaniu z nie-

zmiernemi płaszczyznami wód oceanu Spokojnego; jestto jednak jezioro kapryśne, ze zmiennemi falami. Nie dziwota też, że w tej szybkiej przejażdżce po głębokich słojach wód, widzieliśmy na dnie mnóstwo szczątków okrętów; jedne już oplecione koralami, inne odziane tylko warstwą rdzy, jak kotwice, różne żelaziwo, łańcuchy, śruby, kawałki maszyn, walce potłuczone, kotły rozpęknięte i pudła pływające, jedne prosto, drugie przewrócone.

Z tych okrętów rozbitych jedne zatonęły starłszy się z sobą, drugie uderzając o podwodne rafy granitowe. Widziałem niektóre, co zatonęły prostopadle, z masztami do góry, z linami, żaglami i innemi przyrządami, zesztywniałemi w wodzie. Zdawały się stać na kotwicy w niezmiernej przystani, i oczekiwać chwili odjazdu. Gdy »Nautilus« przesuwał się między niemi, zalewając je światłem elektrycznem, zdawało się, że te okręty powitają go zatknięciem bander i armatnimi strzałami. Ale nie, nic prócz milczenia i śmierci na tem polu katastrof.

Zauważyłem, że dno śródziemne było gęściej zasłane temi nieszczęsnemi rozbić dowodami, w miarę jak »Nautilus« zbliżał się do cieśniny Gibraltarskiej. Widziałem tu liczne pudła żelazne, fantastyczne ruiny parowców, jedne powalone, drugie stojące, podobne do olbrzymich zwierząt. Jedne z tych statków z otwartemi bokami, przygiętym kominem, osadą kół, sterem oderwanym od podwaliny i przytrzymywanym tylko żelaznym łańcuchem, przedstawiały widok prawdziwie straszny. Ileż to istot żyjących zginęło w tem rozbiciu, ile ofiar pogrążyło się w bałwanach! Czy który z marynarzy pokładu przeżył tę straszną katastrofę, żeby ją opowiedzieć światu, lub też fale morza przechowują jeszcze w tajemnicy ów złowrogi wypadek?

Tymczasem »Nautilus« obojętny i szybki, pędził całą siłą śruby pośród tych rumowisk. Dnia 18 lutego, około trzeciej zrana, stanął przy wejściu do cieśniny Gibraltarskiej.

Nautilus szybko przemknął przez ciasne przejście. Przez chwilkę mogłem patrzyć na przedziwne rumowiska świątyni bożka rzymskiego Herkulesa, która, według zapewnień, zapadła się pod wodę wraz z niską wyspą, na której ją postawiono. W kilka minut później płynęliśmy już na falach Atlantyku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DO PIJAKÓW.

Pijaku, pijaku! nie boisz się śmierci
Dopokąd ci w głowie gorzałeczka wierci;

Pijaku, pijaku! niema dla cię piekła,
By ci tylko z beczki gorzałeczka ciekła.

Co ty będziesz robił na cmentarzu w grobie,
Gdy nikt gorzałeczki nie przyniesie tobie?

Każ się więc pochować w karczmie pod szynkwasem,
To ci i po śmierci kapnie wódka czasem!

W karczmie za twą duszę zadzwonią kieliszki;
Sąsiad naklnie tobie daleki i blizki;

Będą śpiewki śpiewać ponad twoją głową
Żyd świeczkę zaświeci na szabas łojową.

Ze świni po śmierci szperka, sadło będzie —
Ciebie pod szynkwasem robactwo obsiędzie.

Pijaku, pijaku! cóż po tobie w niebie,
Kiedy tam gorzałki nie robią dla ciebie?

Gdybyś ty pijaku w piekle wódkę zoczył,
Tobyś pewnie z nieba do piekła wyskoczył.

Teraz póki żyjesz, proś gorąco Boga,
Aby była jeszcze gorzałka niedroga!

Piotr Lipowiak.

Z TYGODNIA.

Sejm galicyjski został otwarty dnia 22 b. m. i obradować ma 5 do 6 tygodni. Otwarli go marszałek kraju hr. Badeni i namiestnik Bobrzyński wielkiemi mowami. Obszerniejsze sprawozdania z obrad Sejmu podawać będziemy co tydzień, począwszy od następnego numeru.

Budżet krajowy na rok 1911 został już opracowany i przedłożony przez Wydział krajowy Sejmowi. Potrzeba tam na wydatki niepokryte 24 milionów koron, a Wydział krajowy, nie chcąc zadłużać kraju, proponuje na pokrycie tych wydatków nieco wyższy (o 10 halerzy) dodatek krajowy, niż w tym roku, mianowicie dodatek po 88 halerzy od każdej korony podatku rządowego w Galicyi całej, a w powiatach chrzanowskim i krakowskim 82 h. od korony. Wzrost wydatków został spowodowany większemi kosztami na szkolnictwo. Ciężko to jest płacić wyższe podatki, ale na oświatę nie należy żałować. Taki wydatek zwróci się stokrotnie, jeśli nie nam, to naszym dzieciom.

Czesi i Niemcy pogodzili się, przynajmniej na najbliższy czas. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdą, która będzie miała poważne skutki w politycznem życiu. Najbardziej dotyczy to królestwa czeskiego, ale także posłuży całemu państwu. Na razie będzie mógł obradować spokojnie sejm czeski, który już został zwołany i nie będzie na nim obstrukcyi niemieckiej. Do porozumienia doszło za pośrednictwem prezydenta gabinetu bar. Bienertha i namiestnika Czech hr. Coudenhowe, którzy postarali się o zebranie przewódców czeskich i niemieckich na wspólną naradę, na której się zgodnie porozumiano.

Cesarz Wilhelm bawił przez kilka dni w Wiedniu, gościnnie podejmowany przez cesarza austryackiego i następcę tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. W mowach swoich stwierdzili obaj monarchowie, że trójprzymierze trwa niezmiennie w wierności dla siebie.

Przyjaźń austryacko-angielska. Do Wiednia przybył specyalny poseł króla angielskiego lord Rosebery, który zapewniał, że Anglia jest dla monarchii Austryacko-węgierskiej bardzo przyjaźnie usposobioną.

Niecne profanacye kościołów. Zacietrzewienie i nietakt wrogów Kościoła katolickiego we Francyi przechodzi nieraz wszelkie granice. Trudno żądać, by ktoś po oderwaniu się od religii chrześcijańskiej przyznał, że ona jest krzewicielką najpiękniejszych ideałów na ziemi, lecz wymaga się stanowczo od człowieka cywilizowanego, by zmieniwszy a raczej pozbywszy się religijnych przekonań, uszanował je u innych i nie kalał świętości drugich. Niestety bezwyznaniowość idzie w parze z sekciarstwem i prześladowaniem. Tak więc w »wolnomyślnej« obecnie Francyi mnożą się ciągle wypadki, że fanatyczni przeciwnicy katolicyzmu dopuszczają się ohydnych bluźnierstw i profanacyi świątyń chrześcijańskich. Ostatnio znów donoszą katolickie dzienniki francuskie o wstrętnych profanacyach kościołów, jakich dopuścił się mer gminy Herault i żandarm z Montpellier. Francuzi, wyparłszy się Boga, chcą prześladowaniami Kościoła katolickiego zagłuszyć własne sumienie.

Rosyjski minister spraw zagranicznych Izwolskij ustępuje. Podobno powodem są nieporozumienia z innymi ministrami. Powiadają też niaktórzy, że jest to kara za to, że w przeszłym roku pozwolił Austryi na zajęcie Bośni i Hercogowiny, i że pozwolono mu tylko rok poczekać, aby cała Europa nie wiedziała, że jest karany.

KRONIKA.

Coraz dłuższe już wieczory, a gdy i nieszczęsne deszcze tak często padają, mają już ludzie sporo wolnego czasu. Po pracy dla zarobienia na chleb powszedni, zaleca się użyć wolnego czasu na zaspokojenie głodu duchowego, przez czytanie dobrej polskiej gazety. Wszak pożytek z tego tak wielki! Człowiek dowie się, co się dzieje w bliższym i dalszym świecie, wzbogaca wiedzę, niejednego się nauczy i ducha pokrzepi, i pod względem religijnym się zbuduje, miłą znajdzie rozrywkę w kłopotach codziennego życia.

Gdy z czytania gazety tak liczne i wielkie zyskuje się korzyści, każda rodzina w domu swym gazetę posiadać powinna dla własnego dobra. Niestety ubolewać zatem trzeba, że jest jeszcze bardzo wiele takich domów wśród ludu naszego, w których prędzej kieliszek i karty znaleźć można, aniżeli gazetę.

W takich domach wygląda, że pożal się Boże! I nieporządek w oczy bije, i bieda ludziskom doskwiera, i pożycie małżonków nieraz okropne, i wychowanie dziatek w zaniedbaniu. Takie są skutki nieuctwa i ciemnoty! Aby w narodzie naszym było lepiej, trzeba koniecznie starać się o wytępienie z pośród ludu naszego owej nieszczęsnej ciemnoty. A przyczynią się do tego i zasługę wielką sobie zaskarbią ci, którzy w takich pożałowania godnych domach zagnieżdżą dobrą katolicką gazetę.

Ludzie dobrej woli niechaj więc szczerze zabiorą się do tej zbożnej pracy i usiłują gorliwie namówić znajomych, aby sobie czemprędzej *Rolę* zapisali.

Małżeństwo arcyksięcia. Rozeszła się pogłoska, że przyszły następca tronu, arcyksiążę Karol Franciszek Józef, syn arcyksięcia Ottona, synowiec następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, żenić się ma z córką cesarza niemieckiego Wilhelma. Pogłosce tej zaprzeczają. Pierwsza trudność jest w tem, że arcyksiążę jest oczywiście katolikiem, zaś księżniczka pruska protestantką.

Z komitetu obywatelskiego w Tarnobrzegu dla sprawy Ferdynanda Kurasia. W czasie od 1 lutego do 1 września b. r. złożono na dar narodowy w postaci zagrody dla poety ludowego F. Kurasia kwotę 341 kor. 17 h. Szczegółowy wykaz składek zamieścił »Powiatowy Dziennik urzędowy« w Tarnobrzegu, oraz kilka innych pism. Wszystkim ofiarodawcom składa komitet jak najserdeczniejsze podziękowanie. Ogólna suma składek dotychczas zebranych wynosi 3838 kor. 48 h. Nadto otrzymał komitet kilka darów w naturze, między nimi obrobiony materyał budowlany na całą zagrodę. Dalsze składki uprasza się przesyłać na ręce skarbnika komitetu Ludwika Kuryłły w Dzikowie p. Tarnobrzeg. Osoby chętne, zgłaszające się po listy subskrybcyjne, zostaną mianowane przez komitet delegatami, poczem otrzymają druki w liście poleconym. Zamknięcie akcyi zbierania daru nastąpi, przypuszczalnie, w połowie roku 1911 i wtedy przystąpi komitet do zrealizowania swych usiłowań. W sekretaryacie komitetu nabywać można po cenie księgarskiej (50 h. za egz.) dwa zbiorki wierszy F. Kurasia: »Z pod chłopskiej strzechy« (Kraków 1905) i »Wiązanka z chłopskiej niwy« (Lwów, Macierz polska 1909). Zgłoszenia, zamówienia, oraz wszelkie inne pisma uprasza się przesyłać na ręce Z. Kolasińskiego w Tarnobrzegu.

Wielka katastrofa kolejowa zdarzyła się na stacyi Rotenman w Styryi. Zderzyły się dwa pociągi pospieszne, z Wiednia do Tryestu i odwrotnie idący. Zabitych ośmiu ludzi, bardzo wielu rannych. W pociągu było paru Polaków, ale tylko jeden jest lekko ranny, reszta wyszła szczęśliwie z katastrofy

Policyanci rozbójnikami. Policya ma do spełnienia ważne zadanie w społeczeństwie. Oni to są pierwszymi stróżami praw, mają pilnować, aby źli obywatele nie przynosili szkody dobrym, oni mają zapobiegać zbrodniom i przestępstwom, a gdy jakieś zostanie już spełnione, wyszukać winnych i oddać ich w ręce sprawiedliwości czyli sądów. Na policyi opiera się więc porządek naszego codziennego życia, tak jak na religii opiera się moralność, a na ustawach spokój i bezpieczeństwo obywateli. Policya nasza w wielkich miastach i policya bezpieczeństwa po wsiach, czyli żandarmerya, spełniają swe zadania należycie, ale po mniejszych miastach tak zwani policyanci są często awanturnikami i pijakami, często jeszcze gorzej. Nic dziwnego, że z takich przedstawicieli władzy magistrackiej nikt sobie wiele nie robi a często gęsto obywatele ich się boją. Nic w tem dziwnego, gdyż zdarzają się między policyantami takie wypadki, jak przedstawia następujące zajście.



Przedmieściem stanisławowskiem szedł sobie staruszek, były kucharz dworski. Szedł on po skończonej robocie zupełnie samotny, gdy wtem niespodzianie trącił go przechodzący policyant miejski Zucki, a gdy kucharz wołać począł pomocy, drugi policyant, Fedorowski, dobył szabli i ciął niewinnego staruszka w głowę.

Krwawiąc, padła niewinna ofiara na ziemię, zupełnie zemdlona. Zobaczywszy to policyanci, zbiegli. Po dłuższym dopiero czasie kucharz na tyle przyszedł do siebie, że potrafił się dowlec do pobliskiego domu, skąd zawiadomiono dyrekcyę policyi stanisławowskiej. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że policyanci owi szli wówczas z Uhrynowa, gdzie mają swe grunta, i czynu zbrodniczego dopuścili się w stanie zupełnego pijaństwa. Obu sprawców bezzwłocznie odstawiono do aresztów i wydalono ze służby.

Napad krowy na żołnierzy. Batalion 79 piechoty w Tryeście wyruszył na ćwiczenia w górach. Na maszerujących żołnierzy napadła niespodziewanie wściekła krowa, która wypadła z za gór i kilku żołnierzy poturbowała.

Krowa o czterech cielętach. W Lignicy w Wielkiem Księztwie Poznańskiem, jak donosi *Gazeta Opolska*, u gospodarza Träumera w Górnych Psiarach wylęgła krowa cztery cielęta normalnie, równo zbudowane. Jestto wypadek bardzo rzadki.

Lot ponad Alpy, o którym donosiliśmy przed kilku tygodniami w *Roli*, odbył się 24 b. m. Z ośmiu zgłoszonych tylko jeden odważył się na tak zuchwały czyn i dokonał go istotnie. Wzniósł się w Brieg, w Szwajcaryi i lecąc ponad straszne skały i przepaście, smagany wiatrem zimnym, wśród mgły, dostał się na drugą stronę góry Simplon. W chwili, kiedy chciał wylądować po stronie włoskiej, coś popsuło mu się w maszynie i runął na dół, łamiąc obie nogi. Śmiały latacz nazywa się Chawez, i jest rodem z Peru, w Ameryce południowej.

Nafta i ogień. Niejednokrotnie przestrzegaliśmy przed dopuszczaniem dzieci do ognia i przed nieostrożnem obchodzeniem się z płomieniem. Nie był ostrożnym gospodarz Frenskow, kolonista niemiecki w Poznańskiem, pod Czarnkowem i srodze został ukarany. Frenskow posłał swą 11-letnią córeczkę do domu, by przyrządziła kolacyę.



Dziewczynka użyła do niecenia ognia nafty. Nagle bańka, zawierająca do trzech litrów nafty, eksplodowała, a dziewczę w mgnieniu oka stanęło w płomieniach. Rodzice zastali dziewczę strasznie popalone, dające zaledwie słabe znaki życia.

Co warta piękność? Elżbieta Horwath, Węgierka, dziewczyna wiejska niezwykłej piękności, zatrudniona była jako wyrobnica dzienna w pewnej cukrowni. Przed trzema laty zajęta była przy maszynie, mając rozpuszczone włosy. Koło rozpędowe chwyciło ją za włosy i z taką siłą porwało w górę, że zdarło jej z głowy skórę wraz z włosami. Ciężko ranną odstawiono do szpitala, gdzie przeleżała kilka tygodni. Wyszła ze szpitala w okropnym stanie: bez włosów na głowie i ze zmniejszoną zdolnością do pracy. Ponieważ fabryka nie chciała jej dać żadnego odszkodowania, wytoczyła proces właścicielom fabryki i zażądała odpowiedniej płacy dożywotniej rocznej, a oprócz tego odszkodowania za utratę piękności kobiecej i połączoną z tem niemożność wyjścia za mąż, w sumie 4000 koron. Sąd budapeszteński przysądził jej, oprócz renty rocznej, także odszkodowanie 2000 kor. za utratę piękności kobiecej.

Oficer pruski złodziejem. W Ehrenbreitenstein pod Koblencyą, kupował jakiś robotnik w składzie jubilerskim podarek dla swej narzeczonej. Równocześnie z nim znajdował się w składzie porucznik Langner. Gdy obaj wyszli, spostrzegł złotnik brak zegarka damskiego. Oczywiście nie mógł go skraść kto inny, jak tylko robotnik, którego, mimo zapewnień, że jest niewinnym, natychmiast aresztowano. Po kilku dniach przyniósł porucznik Langner do drugiego złotnika zamówienie monogramu na złoty zegarek. Pokazało się, że był to właśnie zegarek skradziony u pierwszego złotnika. Uwięzionego robotnika uwolniono, a oficer-złodziej uciekł. Okazało się przytem, że był graczem w karty i pozostawił duże długi.

Świnia w pruskim hełmie. Jedna z gazet francuskich opowiada charakterystyczny wypadek, który przed paru laty omal nie stał się powodem zatargu niemiecko-francuskiego. Pewien fabrykant musztardy w Dižon, we Francyi, przyjmował ajenta handlowego niemieckiej fabryki słoików. Chcąc jak najprędzej pozbyć się gościa, któremu nie miał ochoty dawać zamówienia, zbywał go byle czem, ganił podawane wzory, żądał dziwacznych rzeczy. Wśród pokazywanych mu słoików do musztardy był jeden wyobrażający świnię z ogonem zakręconym do góry.

— To jest wcale niedowcipny pomysł — wskazując świnię. — Gdybyście ją panowie ubrali w hełm pruski, to byłoby przynajmniej oryginalne.

Po takiej uwadze, fabrykant myślał, że ajent, Prusak, oburzy się na tę obrazę wyrządzoną jego armii narodowej i rzuci w twarz Francuzowi wszystkiemi słoikami. Ale Niemcowi nie chodzi o honor, tylko o interes. Zapytał więc spokojnie:

— A ileby pan zamówił?

— Piętnaście tysięcy — odpowiedział, zapytany.

W terminie oznaczonym otrzymał zamówione słoiki, wykonane ściśle według jego pomysłu. Niebawem w restauracyach paryskich ukazała się na stołach świnia o gęstej minie, w hełmie pruskim na głowie. Nabrały one wkrótce wielkiego rozgłosu. Urażeni goście niemieccy zwrócili uwagę ambasady na naczynia obelżywe dla Prus i ambasador niemiecki upomniał się o to u francuskiego ministra.

Rozpoczęły się poszukiwania i badania słoików, »uwłaczających honorowi armii niemieckiej«. Okazało się jednak, że na spodzie znajduje się wybity na każdym egzemplarzu napis firmy niemieckiej a dalej jej stempel, co widząc dyplomaci niemieccy, długo przepraszali Francuzów i wynieśli się.

Przywalony belkami. Przykro jest widzieć bliźniego, ginącego straszną śmiercią, a nie módz mu nic pomódz. Przekonali się o tem przechodnie na ulicy miasta Wiednia, którzy byli świadkami wstrząsającego wypadku. Przed pewną kamienicę zajechała fura, naładowana wysoko belkami do budowy. Ludzie którzy ją przywieźli, weszli do kamienicy, aby zapytać, gdzie belki złożyć. Przy furze został tylko jeden, i zaczął odpinać łańcuch żelazny, przytrzymujący belki umieszczone na wozie.



Widocznie robił to nieostrożnie, gdyż nagle łańcuch się rozluźnił całkowicie i belki z hukiem runęły na dół, jedna po drugiej, przysypując nieszczęśliwego robotnika. Ludzie rzucili się na pomoc i zaczęli po kolei zdejmować, jak najprędzej mogli, grube bale z ciała robotnika, który, jęcząc strasznie, dogorywał. Mimo pośpiechu, zdołano zdjąć z niego śmiertelne ciężary, już po wyzionięciu przezeń ducha. — Okazało się potem, że miał połamane wszystkie żebra i zduszone całkiem wnetrzności.

Ogromne pokłady złota miano znaleźć w sąsiedztwie Kanady w Ameryce, na posiadłościach angielskich, noszących nazwę brytyjskiej Kolumbii. W pobliżu miasta Steward napotkano na żyły złota od 30 do 100 stóp grubości. Wśród ludności powstała prawdziwa gorączka złota. Porzucają zwykłe zajęcia, cały swój dobytek, ażeby kopać złoto. Grunta podskoczyły w cenie w kilku dniach dzisięciokrotnie.

Pies uratował dzieci. Wiadomo, że pies wierny przyjaciel człowieka, gdy się z nim dobrze obchodzą, oddaje wielkie przysługi. Dla dzieci zwłaszcza dobre psy bywają prawdziwymi opiekunami. Troje dzieci właściciela folwarku w Anglii imieniem Tyrone, uratował od śmierci pies, a sam zginął. Gdy dzieci szły drogą przez las do ciotki, mieszkającej na sąsiednim folwarku, ujrzały w krzakach trzy małe niedźwiadki igrające na słońcu. Dzieci, nie przeczuwając niczego złego, zaczęły się bawić niedźwiadkami, gdy nagle z krzaków wypadła niedźwiedzica i z rykiem rzuciła się ku dzieciom, w obronie młodych.



Dzieci, z których najstarsze miało dziewięć lat, rzuciły się do ucieczki, lecz na placu pozostał ich wierny pies, który wydał walkę niedźwiedzicy. Dzieci szczęśliwie dotarły do domu i uwiadomiły o wypadku ojca. Gdy ten uzbrojony, z kilku sąsiadami, udał się w miejsce wskazane, znalazł psa poszarpanego w strzępy, a niedźwiedzica z młodemi znikła. Dzielność wiernego psa uratowała życie dzieciom, które niechybnie byłyby padły ofiarą dzikiego zwierza.

Najnowszy kapelusz damski. Nadzwyczajne wrażenie wywołała w tych dniach w Paryżu jedna z przechadzających się dam, która miała kapelusz w kształcie monoplanu Bleriota. Ogólne jednak zaciekawienie i podziw wzbudzały główki ogromnych szpilek tego kapelusza, przedstawiające śruby aeroplanu, zrobione z drzewa i obracające się przy najlżejszym powiewie wiatru. Około damy zebrały się wkrótce tłumy publiczności. Chcąc uniknąć zbiegowiska, chciała ona wsiąść do krytej dorożki, szpilki jednak nie pozwoliły jej wejść do środka. Dopiero gdy budę opuszczono, dama, wśród ogólnych oklasków, odjechała do domu. Tak zwana moda dzisiejsza dochodzi do rzeczy wprost śmiesznych, a są ludzie, którym się zdaje, że to coś ładnego.

Automobilem do grobu. Przez bulwary paryskie przesuwał się w sobotę pogrzeb, który obudził powszechne zainteresowanie wśród ludności: pogrzeb odbywał się przy użyciu, po raz pierwszy w tym celu, wozów automobilowych. Za automobilem, na którym złożono trumnę, jechały dalsze z rodziną zmarłego. Dla zaznaczenia powagi ceremonii pogrzebowej, wszyscy konduktorzy byli przybrani czarno.

Przepowiednia dla króla Anglii. W pismach nowojorskich jakiś astrolog amerykański ogłosił przepowiednię dla króla Jerzego V. Według więc tej przepowiedni nowy król angielski żyć będzie jeszcze tylko 6 i pół roku, a w pierwszych pięciu latach zajdą bardzo dla Anglii niepomyślne wypadki. W drugim roku panowania króla Jerzego wybuchną rozruchy i powstania w koloniach, zwłaszcza w Indyach. W trzecim roku Anglia będzie wieść wojnę z pewnem mocarstwem europejskiem, a z wojny tej wyjdzie bardzo osłabiona i będzie musiała zgodzić się na liczne ustępstwa. Egipt przysporzy Anglikom wiele kłopotów, ale nie oderwie się od nich, lecz nastąpi to za czasów następcy obecnego króla. Anglia musi przygotować się do zmiany konstytucyi, a w trzecim roku panowania Jerzego V wybuchną na dworze spory. Prócz tego panować będzie w Anglii drożyzna. Przepowiednie niewesołe, ale Anglicy są ludzie rozumni, nieprzesądni i mało sobie robią z tych przepowiedni, a najmniej sam król, który się uśmiał serdecznie, przeczytawszy gazetę amerykańską.

Nierównomierność ciała ludzkiego. Znanem jest powszechnie zjawisko, że obie połowy ludzkiej twarzy mniej lub więcej różnią się od siebie. Wystarcza czasem przelotne spojrzenie, aby się o tem dowodnie przekonać. Do nowych jednak interesujących rezultatów doszedł francuski uczony Godin po szeregu bardzo skrupulatnych badań. Stwierdził on mianowicie, że także w uszach ludzkich zachodzi różnica i to nieraz bardzo znaczna. Wśród stu chłopców w wieku lat 13, których Godin badał pod tym względem, 89 miało lewe ucho dłuższe, aniżeli prawe, tylko w jednym wypadku prawe ucho było dłuższe od lewego. Wśród stu badanych dwudziestotrzechletnich młodzieńców 79 miało lewe ucho dłuższe niż prawe, natomiast 6 dłuższe prawe. Pomiary przeprowadzone na 100 żołnierzach dały mniej więcej podobny rezultat. Szczególnie charakterystycznym jest jeszcze inny fakt, zauważony przez Godina. Oto z biegiem lat różnica długości coraz bardziej się zmniejsza i wyrównywa. Młodzi ludzie, u których w 13 roku życia różnica wynosiła 5 milimetrów, badani w 5 lub 6 lat później, mieli już różnicę długości obu uszów tylko do 3 milimetrów. Obserwacye Godina dowiodły także, że wszyscy ludzie, u których nierówność uszu wynosiła ponad pół centymetra, byli mniej lub więcej upośledzeni na umyśle. Badacz francuski prowadzi w dalszym ciągu swoje obserwacye, nie wyciągając z nich ostatecznych wniosków.

Skarb w więzieniu. Pod miejscowością Soveral, w Portugalii, znajduje się stare zamczysko, zbudowane niegdyś przeciwko Maurom, a w ostatnim czasie zniszczone przez trzęsienie ziemi. W tych dniach zabrano się do rozbierania murów, przyczem murarze odkryli głębokie lochy więzienne, napełnione szkieletami ludzkimi.



W największym lochu znaleziono dwie wielkie skrzynie, okute żelazem, i napełnione po brzegi srebrnemi i złotemi monetami hiszpańskiemi i portugalskiemi. Na dnie znajdowały się oprócz tego liczne sztaby złota. Wartość całego skarbu wynosi blizko miliona koron. Połowę otrzyma rząd, a drugą połowę robotnicy, którzy skarb odkryli.

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Jantek z Bugaja).

Pierwsze to robi każdy przy obiedzie,
Drugie część domu, a całość co będzie?

2. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłała Adela Bezokówna z K. m.).

Z niżej podanych zgłosek ułożyć 10 wyrazów, aby początkowe ich litery czytane z góry na dół dały imię i nazwisko malarza polskiego.

A, ar, cho, chew, czmień, e, ga, grys, fa, ję, ję, ka, ma, no, o, stry, set, wa, zyk.

Znaczenie wyrazów: 1. Narząd smaku. 2. Kwiaty. 3. Część ciała. 4. Jarzyna. 5. Instrument muzyczny. 6. Dzikie zwierzę. 7. Odgłos. 8. Zboże. 9. Napój. 10. Chwast.

3. ZAGADKA.

(Nadesłał W. Nowacki z Ch.).

Dlaczego wrona leci do lasu?

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy w nagrodę dwa obrazki do zawieszenia na ścianie, przedstawiające Władysława Jagiełłę i Jadwigę. — Nagrodę może wylosować tylko prenumerato- *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 8 października. — Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 38 *Roli:* 1. Szarada: **Okopy**, 2. Zagadka: **Litera „n“**, 3. Zagadka: **Praczka**.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

I.

Że twierdze okopy do obrony mają,
Wszyscy wiedzą, którzy cokolwiek czytają;
Lecz cóż z tego, choć zgadłem? Wiem, że nie dostanę
»Balonu« w nagrodę, bo w tyle zostanę.
Jakem przekonany aże do tej chwili,
Bo Bzdura o babie myśli moi mili;
A nawet o takiej co »n« niema w środku,
A możebyś do wdowy przypił kwartą miodku?
Jabym ci do tego dopomógł żarliwie,
Byleś mi przyrzekł nagrodę szczęśliwie.
A pan Bąbaś myśli, że praczek nie znamy
A przez to szaradzie już rady nie damy,
Więc mówi o zwierzu, którym jest kobieta,
Choć nie chodzi w pierzu, lecz pierze zmarznięta,
A nawet po grzbiecie by ci zapłaciła!
Że ją masz za zwierza, dobrzeby zrobiła...

Jan Łojek z R.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP. Adela Bezokówna z K. m., Jakób Paff z Ch., Wł. Lanoszka z S., Józef Gąsior z S, Karol Baron z P., Roman Jamroz z Szcz., D. Felczer z P., Fr. Migdał z S., Józef Kobylański z B., Leon Łętowski z S., Józefa Hirszberg z K., Franciszka Andrusikiewicz z D., Antoni Kowalczyk z K., Michał Dudek z Ż., Adam Warchoł z Z.

* * *

Nagrodę p. t. ***Balonem do bieguna*** otrzymał **Karol Baron** z P.

Odpowiedzi Redakcyi.

P.P.: Jan Stylo w D.: Owszem, prenumeratę na 1911 r. przysyłać już można, trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że to na rok przyszły. — Jan Łojek w R.: W księgarniach dostanie pan tego na funty, ale szkoda pieniędzy. My nie mamy. — Tadeusz Stypa w T.: Prosimy nagadać listonoszowi, aby regularnie doręczał, gdyż my wysyłamy najpunktualniej. — Fr. Migdał w S.: Zapewne kartka gdzieś zginęła, ale niech Pan nic Maćkowi nie mówi, bo strach!... — D. Felczer w P.: Rozwiązanie z nru 36 przyszło zapóźno. Prosimy uważać na termin, gdyż losowanie odbywa się w poniedziałek rano. — Józef Krukurka w K.: Wysłaliśmy powtórnie. — Maciej Zawada w Rz.: Adres zmieniliśmy. — Filip Wdowiak w Z.: Adresy ludzi lubiących czytać, są nam bardzo pożądane. Zawsze chętnie wysyłamy im numera na okaz. Jan Wielopolski z J.: Natychmiast po otrzymaniu prenumerat wyślemy. — Ignacy Grabowski w K.: Zapewne w drodze zginęły. — Jan Firlit w R.: P. Wojtasowi wysłaliśmy od numeru 27. Dziękujemy. — Józef Święs w K.: Odpowiedzieliśmy obszernie listownie. — Leon Łętowski w S.: Wojciech Kochowski nic dotychczas nie nadesłał, więc wstrzymaliśmy. Resztę załatwiliśmy według życzenia. Niestety, słusznie pan ma, twierdząc, że niejeden woli pieniądze przepić, aniżeli dobrą gazetkę zaprenumerować. Smutne to, lecz prawdziwe! Brakujące numera zachowamy.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Jan Majewski z S. (2 K.), Ks. Franciszek Kuźniarowicz z N. (4 K.), Wacław Tomaszewski z P. (1·50 K.), Wilhelm hr. Romer z O. (2 K.), Józef Kiełbasa z K. (4 K.), Andrzej Wojtas z R. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 27 września:

Buhaje	Kor.	180	do	400	za sztuk.:
Woły	„	210	„	300	„
Krowy	„	140	„	260	„
Jałówki	„	84	„	200	„
Cielęta	„	25	„	76	„
Owce i kozy	„	20	„	27	„
Świnie (bita waga)	„	156	„	168	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w dniu 27 września:

Pszenica	Kor.	9·50	do	10·	za 50 kg.
Żyto	„	6·85	„	7·30	„
Jęczmień	„	7·75	„	8·50	„
Owies	„	7·60	„	7·70	„
Otręby pszenne	„	4·60	„	4·75	„
Otręby żytnie	„	4·40	„	4·50	„

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.

NIEDOWIAREK.

— Czy ty nie wierzysz, że cię kocham?
— Wierzę.
— I że będziesz szczęśliwą, skoro wyjdziesz za mnie?
— W to — to nie wierzę.

— Co poradzę, sąsiadko, mąż mi się codzień upija, w domu nie siedzi tylko w szynku.
— Ot, jest przecie rada...
— No, jaka?
— Załóżcie sobie szynk, to będzie wtedy siedział w domu!...

NA WSI.

Doktór po zapisaniu pijawek przychodzi po niejakimś czasie do wieśniaczki i pyta:
— Jakże pijawki pomogły staremu?
— E! ledwie dwie surowe mógł zjeść, a resztę musiałam mu upiec.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.